

ŚLADAMI ŚW. FRANCISZKA ... TRZY KROKI KU BOGU

Przemiana serca

Miasto św. Franciszka

Jan Bernardone Moriconi - tak naprawdę nazywał się Święty, znany na całym świecie jako Franciszek. To "imię" zawdzięcza swojemu ojcu Piotrowi Bernardone, który w dniu narodzin syna był w podróży handlowej. Matka ochrzciła dziecko, nadając mu imię Jan. Po powrocie ojciec nazywał go pieszczotliwie: *mój Francuzik*, być może ze względu na miłość jaką darzył swoją piękną żonę Pikę, którą sobie przywiózł z Francji. I tak przyłgnęło do niego, jak drugie imię: Francesco.

Franciszek przyszedł na świat 26 września 1182 roku w Asyżu. Jest to miasto położone w Italii, w prowincji Umbria i liczy obecnie 26 tysięcy mieszkańców. Obok Jerozolimy i Rzymu Asyż jest znany na całym świecie. Znany nie dlatego, że powstał kiedyś jeszcze w czasach starorzymskich, nie dlatego, że zachowało się w nim wiele dzieł architektury, rzeźby i malarstwa, nie dlatego, że mieszkało w nim wielu rycerzy i bogatych kupców, ale dlatego, że tam urodził się, działał, umarł i został tam pogrzebany Jan Bernardone Moriconi, zwany Franciszkiem z Asyżu i dlatego, że Człowiek ten ukochał Chrystusa ponad wszystko, Chrystusa ubogiego i ukrzyżowanego, i dla Niego dobrowolnie wyrzekł się dziedzictwa kupieckiego, kariery rycerskiej, a świadomie i dobrowolnie stał się Biedaczyną. To z jego powodu Asyż nie tylko jest znany i sławny, ale także inny od wszystkich miast Italii, a nawet świata.

Roman Branstaetter tak pisał o tym niezwykłym mieście, porównując go z Rzymem: "Asyż utkany jest z ewangelicznej pieśni. Rzym - to władza. Asyż - to dłonie modlitewnie wzniesione ku niebu. Rzym - to majestat. Asyż - zachwycenie. W Rzymie człowiek pokornie pochyla się ku ziemi. "Pieta" Michała Anioła w bazylice św. Piotra jest tak piękna, że trzeba zamknąć oczy, by móc spokojnie się modlić. W Asyżu człowiek wznosi wzrok ku niebu i chcąc się modlić, szeroko otwiera źrenice wpatrzony w chmury, które jak cherubiny krążą nad jego głową. W Rzymie człowiek czuje się częścią dziejowego dramatu, w Asyżu sama obecność człowieka jest ukojeniem. Kto raz był w Asyżu, pragnie zbudować świat na wzór Asyżu... Ludzie, którzy zapomnieli się modlić, powinni pielgrzymować do Asyżu. Modlitwa sama na nich spłynie."

W Asyżu rozpoczęła się historia życia i świętości Franciszka, a rozpoczęła się tak zwyczajnie, podobnie jak każdego człowieka. Kiedy będziemy przyglądać się bliżej jego osobie i środowisku, w którym wzrastał będziemy mogli dostrzec, że każdy młody człowiek może we Franciszku odnaleźć swoje pragnienia, tęsknoty, pytania i odpowiedzi.

Natura, kultura, wzorce i ideały

Każdy z nas przychodzi na świat w jakiejś określonej rodzinie i staje się jej częścią. Każdy jakoś tam wygląda, jest mniej lub bardziej podobny do swoich bliskich i dziedziczy po nich pewne cechy osobowościowe. Franciszek po matce odziedziczył szlachetność, dobroć i rycerskość ze skłonnością do romantyzmu, a także upodobanie do pieśni i poezji. Po ojcu zaś inteligencję i przedsiębiorczość oraz talent do kupiectwa. Rodzice zapewnili mu również odpowiednie wychowanie kościelne i cywilne oraz dobre, jak na tamte czasy, wykształcenie.

Jako młodzieniec nie posiadał jakiegoś nadzwyczajnego wyglądu. Tomasz Celano, jeden z pierwszych uczniów Franciszka pisał, że był średniego wzrostu i delikatnej budowy. Miał łagodną twarz, nieco wystające czoło, orli nos, błękitne oczy, czarne włosy i słaby zarost. Natomiast w stosunkach z ludźmi był bardzo ujmujący, delikatny i radosny. Wesole życie, towarzystwo przyjaciół, zabawy, nocne włóczęgi były dla niego ważniejsze niż handel materiałami w sklepie ojca. Wiele próżności i rozrzutności wykazywał w sposobie ubierania się. Miał zwyczaj łączenia w jednym stroju najdroższych i najbardziej lichych materiałów. A więc w zasadzie tzw. dzisiejsza młodzież nie wymyśliła nic nowego. Pocięte i postrzępione spodnie z bardzo drogą bluzką czy koszulą w parze to tylko współczesniejsza wersja średniowiecznego stroju!

Franciszek zadziwiał i niekiedy szokował obywateli miasta, ale odbierany był bardzo życzliwie ponieważ posiadał szlacheckie maniery i piękne słownictwo. Był tylko synem kupca, ale jego sposób zachowania dorównywał arystokratom. Otaczany był sympatią swoich rówieśników, dla których wyprawiał wesole uczty. Dzięki swoim zaletom i bogactwu, uzyskał wśród Asyżan miano "króla złotej młodzieży".

Każda epoka niesie ze sobą pewne ideały i wzory, które kształtują ludzką mentalność, pobudzają pragnienia i ukierunkowują działania. Wiek XI i XII to czas wypraw krzyżowych, czas legend i opowieści o bohaterach, męczennikach i świętych ascetach. Franciszek żył tymi legendami i opowieściami, marząc o zdobyciu rycerskiego pasa tak, jak dzisiaj wielu młodych ludzi pragnie odnieść sukces, mieć własną firmę i awansować społecznie.

Kiedy wybuchła wojna między Perigią, a Asyżem młody Bernardone wziął w niej udział i wraz z wieloma innymi wojownikami trafił do niewoli. Ta wojna była szansą, wiązał z nią nadzieje. Z pewnością marzył o tym, by w jakiś sposób wyróżnić się odwagą czy zręcznością, wsławić się przez jakiś bohaterski czyn... Tymczasem Asyż wojnę przegrał, a Franciszek wraz ze swoimi marzeniami został zamknięty w chłodnych i ciemnych lochach Perugii. Zgodnie jednak ze swoją radosną i niekiedy beztroską naturą wcale się tym mocno nie przejął. Mówił do swoich towarzyszy: "Jeszcze będę uwielbiany przez cały świat".

Niewola... i co dalej?

Młodość jest szczególnym etapem w życiu człowieka. Jest to czas poszukiwania i odkrywania sensu wszystkiego tego, co nas otacza. Czas kształtowania pierwszych poglądów na życie. Gdzieś tam w środku pojawiają się jakieś bliżej nie nazwane tęsknoty za czymś wielkim, nieprzeciętnym... Powoli rodzą się konkretne pragnienia, dzięki którym młody człowiek dokonuje pierwszych samodzielnych wyborów. To dzięki pragnieniom podejmuje pierwsze decyzje, wyznacza sobie jakieś cele i za wszelką cenę poszukuje środków do ich realizacji... Taka jest specyfika młodości. Zmieniają się epoki, mijają kolejne tysiąclecia historii ludzkości, ale natura ludzka pozostaje niezmienna. I to dlatego w młodzieńczych doświadczeniach Franciszka każdy może znaleźć coś swojego. Przypatrzmy się zatem dalszej historii jego życia.

Po przegranej wojnie z Perugią znalazł się w niewoli. To właśnie tam zaprowadziły go jego

marzenia o wielkości i sławie. Zamiast laurów otoczyły go ciemne i zimne mury więziennych lochów. I tak zazwyczaj bywa, że pierwsze próby wchodzenia w dorosłe życie kończą się porażką, bo wcale nie jest łatwo odnaleźć tę właściwą drogę.

We współczesnym świecie czeka wiele ślepych uliczek. Dzisiaj, w dobie złudnych reklam i propozycji łatwego życia, w dobie lansowania człowieka sukcesu (najlepiej z wyższym wykształceniem ekonomicznym, bo teraz trzeba robić biznes...), z dobrym samochodem i niezawodnym ubezpieczeniem emerytalnym, właściwy wybór zdaje się być jeszcze trudniejszy. I to dlatego, zamiast upragnionych sukcesów, zdarzają się nam niepowodzenia i rozczarowania, które także weryfikują nasze plany. Czasami poszukiwanie sposobów realizacji swoich pragnień kończy się, tak jak u Franciszka. I tu warto by było zadać sobie pytanie czy czasami te ścieżki, którymi my podążamy nie prowadzą do jakiegoś "loch", niosącego ze sobą niepotrzebne cierpienia. Może trzeba by było zwrócić się w inną stronę?...

Kiedy został zawarty pokój między Perugią i Asyżem, Franciszek wrócił do domu i jakby zapomniał o rycerskiej sławie. Zajął się pracą w sklepie swojego ojca. Porażka ostudziła nieco jego zapał... Co nie znaczy, że zrezygnował ze swojej wizji chwalebnej, rycerskiej przyszłości. Wciąż nie widział dla siebie perspektyw rozwoju w rodzinnym mieście, gdzie jedyne co mógł osiągnąć, to przejęcie kupieckich interesów ojca. Dlatego, gdy w 1205 roku papież nawoływał do kolejnej wyprawy wojennej, Franciszkowe nadzieje odżyły na nowo i to z jeszcze większą mocą. Tym razem była to świetna okazja zdobycia majątku i sławy w rycerskich szeregach hrabiego Gentile. Ojciec dumny z zamiarów syna odpowiednio go wyposażył. Choć nie był szlachcicem, pieniędzy miał więcej niż niejeden z nich. A ponadto liczył, że Franciszkowy sukces przysporzy majątku i sławy również i jemu, i całemu rodowi. W swoim synu widział spełnienie tego, czego sam nie zdołał osiągnąć - wyniesienie do wyższej sfery społecznej, przejście ze stanu mieszczańskiego do stanu rycerskiego.

Przeważnie rodzice pragną dla swoich dzieci "czegoś więcej": wyższego wykształcenia, lepszych warunków bytowych, bardziej płatnej pracy itd. Mają jakieś mniej lub bardziej konkretne oczekiwania i plany wobec swoich "latorośli". Niekiedy inwestują w nie wszystkie swoje oszczędności, aby tylko mogły studiować i być "kims".

Tak też zrobił Piotr Bernardone, chociaż w całym Asyżu znany był ze skąpstwa, na zbroję i konia dla syna wydał mnóstwo pieniędzy. Franciszek był jego nadzieją i z prawdziwie ojcowską dumą patrzył, jak wyruszał w drogę, żegnany biciem dzwonów, błogosławieństwem biskupa i wiwatami Asyżan. Ale tak to jakoś jest, że mimo wszelkich starań i dobrych chęci nie zawsze udaje się osiągnąć zamierzony cel. Wielkie bohaterskie czyny, laury i pas rycerski nie były w Bożych planach Franciszkowego życia. Jednak ani on sam, ani jego rodzice nie zastanawiali się czego Bóg oczekuje od niego. Boga przecież nie widać i choć się w Niego wierzy i chodzi do Kościoła co niedzielę, to i tak niechętnie miesza się Go do rodzinnych spraw. Bóg jest w niebie, my żyjemy na ziemi, a więc co Pan Bóg może wiedzieć o naszych życiowych problemach?... Człowiek chce sam urządzać swoje człowiecze życie, bo się zna na życiu...

Franciszek zdołał dojechać do Spoleto i tam zachorował. Rycerze pomaszzerowali dalej, a on unieruchomiony wysoką gorączką pozostał w łóżku... Pewnej nocy, pogrążony w półśnie, usłyszał głos pytający go:

“Dokąd idziesz?”. Gdy Franciszek ujawnił cały swój plan, usłyszał kolejne pytanie: - “Komu lepiej służyć: Panu czy słudze?”. Odpowiedział: - Panu. Wtedy ten sam głos ponownie zapytał: - “Dlaczego więc opuszczasz Pana dla sługi i Księcia dla poddanego?”. Franciszek, nie wiedział co odpowiedzieć, więc zapytał: - “Panie, co chcesz, abym czynił?”

Po raz pierwszy zdarzyło mu się nie wiedzieć, co ma robić ze swoim życiem.

Dokąd idziesz?

Często słyszymy to pytanie. Zadają je rodzice, gdy wychodzimy z domu, nauczyciele gdy po dzwonku na lekcję spotkają ucznia na korytarzu..., kierują je do nas również koledzy czy koleżanki - na przykład - przed andrzejkami albo sylwestrem... Setki razy je słyszeliśmy..., ale czy kiedyś my zadaliśmy je sobie?... Czy zastanawialiśmy się dokąd właściwie zmierzamy?, dokąd prowadzą nas nasze codzienne decyzje i czyny?, jaki przyświeca im cel?...

Są to w zasadzie pytania o drogę, bo idzie się przecież jakąś drogą, a każda droga ma u swego kresu albo życie albo śmierć... I to dlatego pytania te nie są zarezerwowane jedynie dla młodych, są niezbędne i ważne na każdym etapie ludzkiego życia...

Pytanie skierowane do Franciszka w Spoleto brzmiało: Dokąd chcesz się udać, dokąd idziesz?, a więc było wyraźnym zapytaniem o Franciszkowe zamiary i plany, które zresztą bardzo szybko młody Bernardone wyjawiał. Żyły w nim od wielu lat. Wiedział jak i gdzie je zrealizować. Franciszek szedł do Apulli, bo chciał zostać wielkim księciem, chciał zdobyć ziemię, mieć zamek i kobietę, stać się sławnym rycerzem. Jak dotąd Franciszkowy scenariusz życia w zasadzie pokrywał się z tym, jaki ułożyli dla niego jego rodzice, a szczególnie ojciec... Wszystko było jasne i oczywiste... aż do Spoleto. Franciszek unieruchomiony chorobą, niejako zmuszony przez słabość ciała, wreszcie się zatrzymał... I tutaj w samotności i kolejnym rozczarowaniu "dogonił" go Pan Bóg, ale na razie jeszcze pod zasłoną tajemniczego głosu w północy... Przyszedł na spotkanie w taki sposób, jaki był akurat teraz najlepszy dla Franciszka...

Choroba dla pełnego marzeń o sławie młodego Bernardone była jeszcze czymś bardziej upokarzającym niż przed kilku laty niewola i zamknięcie w lochach Perugii. Wtedy wojnę przegrał cały Asyż, Franciszek jako jednostka nie mógł mieć tu decydującego wpływu. Niesława rozłożyła się na wszystkich walczących Asyżan... Teraz zaś okazało się, że po prostu on sam jest za słaby na to, żeby być rycerzem. Nie miał ku temu predyspozycji... Być może, leżąc w łóżku, rozmyślał dlaczego spotkało go takie niepowodzenie?, dlaczego kolejny już raz wyprawa po rycerski pas kończy się właśnie tak?

I wcześniej czy później na każdego człowieka przyjdzie taki czas, gdy będzie musiał skonfrontować swoje plany, oczekiwania rodziców, przyjaciół i środowiska z Bożym scenariuszem swojego życia.

Dzisiaj, młody człowiek pytany o życiowe plany, najczęściej odpowiada: chcę skończyć szkołę, potem iść na studia, mieć dobrze płatną pracę, kupić mieszkanie i samochód, założyć rodzinę... Czasami zdarza się, że mówi: "nie wiem". Gdzieś tam idzie, coś robi, i tak z dnia na dzień mijają lata, a on wciąż nie wie. Może nie wiedzieć, bo dotąd się nad tym nie zastanawiał, albo ma jeszcze wątpliwości - nie widzi jasno swojej drogi, albo jest mu z tym wygodnie - skoro nie wie, to nie może ponosić pełnej odpowiedzialności za obrany kierunek życia i tak jakoś tam kombinuje, żeby mu nie było źle, i żeby nikt się nie wtrącał. Może więc jakieś studia, bo teraz "wszyscy" gdzieś studiują i głupio wyjść na "pólinteligenta", a poza tym - dla chłopców - to także sposób na uniknięcie wojska... Może się uda?

Niektórzy rodzice mówią wtedy: a niech tam robi co chce, aby tylko dał czy dała sobie radę w życiu, żeby tylko jakoś się dziecko urządziło. Tymczasem okazuje się, że coś z tymi studiami albo z pracą nie wychodzi. Ale tak od razu, nawet przed sobą samym, trudno się przyznać, że może się nie nadaje... No to inne studia, inny kierunek albo inna praca, bo wszystkiemu winne "te układy" na uczelni albo w firmie...

Aż kiedyś wreszcie jakiś wewnętrzny głos - najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej - dotknie naszych myśli i serca: "dokąd idziesz?" - zapyta - czemu tak się miotasz?, dlaczego jakoś ci ze sobą

samym niewygodnie?, albo dlaczego, tak jak Franciszkowi, ciągle coś ci nie wychodzi, coś staje na przeszkodzie? Czyżby to był zwykły zbieg okoliczności?... A może trzeba w końcu zacząć słuchać i starać się rozumieć mowę tych wydarzeń... Może wcale nie o to chodzi w życiu, o co Ty tak zabiegasz?...

Jest to czas na szczere spojrzenie na siebie, na swoje pragnienia, na duchowe, fizyczne i intelektualne możliwości, na swoją drogę... Do czego ona mnie prowadzi?... Co jest moim celem, a co moją "Apullą", otwierającą możliwości zrealizowania pragnień?

Szczera i jasna odpowiedź będzie jakimś małym krokiem zrobionym w kierunku odkrycia Bożych zamiarów wobec nas i jak Franciszkowi pozwoli usłyszeć następne trudne pytanie: "Komu lepiej służyć Panu czy słudze?"

Komu lepiej służyć: Panu czy słudze?

Bardzo niewspółcześnie brzmi to pytanie. Kto z młodych myśli w takich kategoriach? Przecież mamy już XXI wiek, a nie ciemne średniowiecze. Nie ma panów, nie ma sług. Wszyscy są równi. Ale czy na pewno? Czyżby należało zmienić terminologię? Czy Pan Bóg mówił tym językiem tylko za czasów św. Franciszka? Zastanówmy się chwilę. Uściślijmy, kto to właściwie jest "pan" a kim jest "sługa"?

Ten pierwszy kojarzy się z panowaniem, a więc z władzą, wielkością, uznaniem. "Panem" jest ten, z kim się liczą, z kim warto wejść w bliższy kontakt. "Panem" jest ktoś, komu się ufa, komu jest się posłusznym, kto posiada wiele dóbr i może nimi obdarować innych.

Natomiast określenie "sługa" związane jest z czynnością służenia. "Sługa" to ten, kto jest na czyjeś polecenia, jest do dyspozycji na każde zawołanie. Jest komuś poddany, nawet strój musi nosić taki, jak sobie życzy pan. "Sługa" jest uzależniony od kogoś większego i znacniejszego. Zabiega o jego uznanie.

Teraz przyłóżmy te dwa pojęcia do naszej, jakże już ucywilizowanej rzeczywistości. I co? Nie pasuje? A może jednak? Popatrzmy na "panów" naszych czasów np.: właściciele dochodowych firm, wielkich udziałowców w międzynarodowych biznesach. Są to ludzie sukcesu, a na ich usługach tysiące pomniejszych marzących o sukcesie - o awansie społecznym - ludzi, ubranych w standardowe uniformy naszego stulecia: garsonka albo koszula, krawat, garnitur. W jednej dłoni teczka i kluczyki do służbowego samochodu, w drugiej telefon komórkowy i gotowość na każde wezwanie szefa. Tak więc pytanie, które Franciszek usłyszał w Spoleto można łatwo przetłumaczyć na język współczesny. Brzmiałoby ono tak: z kim korzystniej jest wejść w układy: z właścicielem jakiejś firmy, czy ze zwykłym pracownikiem? I nasza odpowiedź - o ile mamy nieco zdrowego rozsądku - najprawdopodobniej byłaby zgodna z tą, której udzielił Franciszek. On stwierdził, że lepiej służyć "Panu", a my powiedzielibyśmy, że korzystniej jest prowadzić interesy z właścicielem. Co mógł dać synowi Piotra Bernardone "pan", za którym podążał, czyli hrabia Gentile? Wszystko, czego Franciszek pragnął: przejście do wyższego stanu społecznego - pas rycerski, sławę, zaszczyty, bogactwa, własny zamek i szlachetną kobietę.

Czego dzisiaj młody człowiek może spodziewać się od wejścia w układy z wielkimi naszych czasów? Przede wszystkim sukcesu, uznania w środowisku społecznym, własnego domu z ogrodem i dobrego samochodu czyli także warunków do założenia i utrzymania rodziny. Tak mówią uczniowie szkół średnich, z którymi czasami mam okazję prowadzić katechezy.

Wygląda więc na to, że nasze pragnienia po upływie ośmiu wieków, w swej istocie, nie odbiegają od Franciszkowych. Są tylko subtelne różnice. Kiedyś na awans do wyższej klasy społecznej trzeba

było zasłużyć wybitnymi czynami, wykazać się męstwem, odwagą, a niekiedy nawet heroizmem. Obecnie wystarczy siła przebiccia i brak skrupułów. Młodzi mówią do "nieżyciowej" zakonnicy: "W życiu trzeba rozpychać się łokciami, żeby wyjść na swoje", albo: "Siostrzo, teraz trzeba być rekinem, żeby nas inni nie zjedli". Skoro takie hasła przyświecają współczesnemu człowiekowi, to kto jest jego panem? Warto się chyba zastanowić komu my jesteśmy posłuszni, kto nami kieruje, komu siebie powierzmy, w kim pokładamy nasze nadzieje na przyszłość?

Kto jest twoim Panem?

Na to pytanie, zadawane w czasie rekolekcji franciszkańskich, młodzież często odpowiada: Jezus. Myślą sobie: skoro pyta nas siostra zakonna, więc z pewnością chce usłyszeć jakąś pobożną odpowiedź. I cóż, w zasadzie tak odpowiadając, mówią prawdę, ale nie o sobie, bo Jezus rzeczywiście jest naszym Panem, tylko czy na pewno w swoim życiu pozwalamy panować właśnie Jemu? Czy idziemy za Nim? Czy jesteśmy posłuszni Jego słowom? Czy w podejmowaniu decyzji właśnie do Niego spieszymy po radę? Czy w Nim pokładamy nasze życiowe nadzieje i upatrujemy pomocy w ich realizacji? Nie śpieszymy się z odpowiedzią. Popatrzmy najpierw na Franciszka i jego życiowe doświadczenie w Spoleto. Nikt z nas nie jest sędzią we własnej sprawie. Trudno jest obiektywnie ocenić siebie nie mając jakiegoś punktu odniesienia. Wróćmy więc do pytań, które w półnie usłyszał, zatrzymany w drodze chorobą, Franciszek.

Zapytany - "Komu lepiej służyć: Panu czy słudze?" - odpowiedział zgodnie z prawdą: Panu. I w tym momencie usłyszał coś, czego zupełnie się nie spodziewał: "Dlaczego więc dla sługi opuszczasz Pana i Księcia dla poddanego?" Nietrudno sobie wyobrazić jak bardzo musiał być zdziwiony tym pytaniem Franciszek, który według własnej oceny właśnie szedł za Panem i Księciem. Zaskoczenie i konsternacja... Nie wiadomo, o co właściwie chodzi pytającemu. Podobnie reagują młodzi pytani w czasie rekolekcji. Jak to siostra może zadawać mi takie pytanie? Przecież chodzę do kościoła i to nawet w dzień codzienny, modlę się rano i wieczorem, staram się czytać Pismo Święte, zachowuję przykazania: nie kradnę, nie kłamie, nie zabijam i w dodatku, gdy moi znajomi zajmują się bzdurami ja jestem na rekolekcjach. Siostra "się czepia" nie wiadomo czego...

I wtedy wystarczy takiego podążającego za Panem ucznia szkoły średniej czy studenta zapytać, czy ściga na kolokwiał; czy ma zamiar bez ściągawek zdawać maturę... Ale nie ma przecież przykazania: nie ściągaj... Oczywiście, że nie ma, ale jest: nie kradnij i nie dawaj fałszywego świadectwa..., a do tego wszystkiego jeszcze Jezus powiedział o sobie: "Ja jestem drogą, prawdą i życiem". Bardzo łatwo jest uprościć Dekalog, gdy nie zdajemy sobie sprawy z tego, że dziesięć przykazań, odkąd Pan Jezus przyszedł na świat, należy dopełnić Ewangelią, a w szczególności "Kazaniem na Górze" spisany przez św. Mateusza w rozdziałach: 5 - 7.

No to jak? Za kim idziesz, gdy okłamujesz nauczycieli, rodziców i samego siebie; gdy przywłaszczasz sobie ocenę, która ci się nie należy? Idziesz za Panem? Może i idziesz, ale nie za tym, który chce cię zaprowadzić do życia drogą prawdy... Kto wobec tego jest twoim Panem? Jeżeli nadal twierdzisz, że Jezus, to dlaczego Go opuszczasz..., podążając za Księciem kłamstwa? A może nie opuszczasz?...

Pan, to jest ktoś, komu się ufa i w kim pokłada się swoje nadzieje. Jakie jest zaufanie człowieka do Boga, który uważa, że nie został na tyle wyposażony w talenty, żeby poradzić sobie w liceum i dlatego jest niejako przez ten brak zmuszony do kombinowania? W kim pokłada nadzieję ktoś, kto twierdzi, że Pan Bóg go pokarał takim współmałżonkiem, który opuścił rodzinę? To nie jest zaufanie, to jest zarzut wobec Stwórcy: dlaczego stworzyłeś mnie tak słabym, dlaczego inni - mają piątki i perspektywę podjęcia dalszej nauki na studiach, a ja nie; dlaczego innym pomagasz, są sobie wierni i jakoś się w życiu urządzają, a ja muszę sobie radzić sam, dlaczego ja zawsze mam pod

górze?

Rzeczywiście, nie wszyscy są jednakowo zdolni, podobnie jak nie wszyscy są jednakowo piękni czy przystojni... Nie wszyscy robią doktoraty, bo nie wszystkim jest to potrzebne. A skąd wiesz, że powinieneś uczyć się w liceum? Może, gdybyś poszedł do technikum, nie musiałbyś ściągać... Kogo pytałeś, czy pytałaś jaką wybrać szkołę, jakie studia, jaką pracę, jaką żonę, czy męża? Pytałeś Pana Boga, do którego teraz masz pretensje?

Franciszek też nie pytał Pana Boga, czy ma zostać rycerzem, czy ma jechać do Apulli. Nie próbował poznać woli Bożej, gdyż pokierował się "podpowiedzią" pojawiających się pragnień, które zrodziły się w nim jako młodzieńcze marzenia o sławie i wielkości. Uległ wpływom ówczesnej mentalności społecznej: rycerz to był "ktoś", a nie tylko zwykły syn kupca. Współcześnie działa ten sam model: opinia społeczna podpowiada młodym ludziom: żeby być "kimś" - musisz mieć "mgr" przed nazwiskiem. I nie dziwne, że niektórzy "męczą się" w liceum, bo chcą mieć szansę na bycie "kimś". Tylko, czy czasami nie jest to opuszczanie Pana dla sługi?

Panie, co chcesz, abym czynił?

"Dlaczego opuszczasz Pana dla sługi i Księcia dla poddanego?" Tym pytaniem Franciszek poczuł się niejako przyparty do muru przez Kogoś, Kto wiedział o nim więcej niż on sam. W jednym momencie Franciszek został prześwietlony na wylot i w tak nieoczekiwany sposób zdiagnozowany. Wcześniej nawet mu do głowy nie przyszło, że opuszcza Pana. I może właśnie dzięki tej nieświadomości łaska miała do niego łatwiejszy dostęp, niż do kogoś, kto świadomie odchodzi od Boga.

Franciszek zdumiony i zdezorientowany tym, co usłyszał, po prostu zapytał: "Panie, co chcesz, abym czynił?" Zrozumiał, że głos pochodzi od Boga, że tylko On może znać wnętrze człowieka aż tak. Dlatego pierwszy raz w życiu, łagodnie przymuszony Bożą łaską, o coś zapytał. Do tej pory wszystko wydawało mu się takie oczywiste, ale teraz naprawdę nie wiedział, co dalej. W ten sposób Bóg kolejny raz stanął na drodze Franciszka i wreszcie został przez niego rozpoznany jako jedyny Pan.

Bóg zatrzymał w Spoleto tego młodego zapaleńca wojennych wypraw chorobą. I nie wiadomo dlaczego właśnie tak. Można się jedynie domyślać, że młody Bernardone, ze względu na swoją hojność i uprzejmość w sposobie bycia, ciągle był otoczony licznym gronem swoich rówieśników. Może to był jedyny sposób, żeby spotkać Franciszka - tak "sam na sam", bez rodziców i rodzeństwa, bez przyjaciół, bez rycerzy, bez niepotrzebnych świadków?.

Franciszkowe doświadczenie choroby uczy nas, że może to być jeden ze sposobów przemawiania Boga do ludzkiego serca. Tymczasem my rzadko rozpoznajemy chorobę jako szansę. Chcemy jak najszybciej odzyskać zdrowie, a gdy nie jest to takie proste, zaczynamy się buntować. A może trzeba by było zapytać: "Panie, co chcesz, abym czynił?". Oczywiście nie oznacza to, żeby się nie leczyć, ale może nie za wszelką cenę... Może nie rozpaczać, gdy dzień lub dwa miną bez odwiedzin. Może trzeba by było te chwile osamotnienia, gdy wszyscy bliscy są w szkole, czy w pracy, wykorzystać na jakąś głębszą refleksję nad swoim dotychczasowym życiem? Może by tak "nie zabijać" ciszy głośną muzyką, może "nie zasłaniać" oczu telewizyjnymi obrazami, może właśnie Pan Bóg chce mnie przeświecić - jak Franciszka - może chce mi coś pokazać, może chce mnie zawrócić z tej drogi, którą właśnie kroczę? Może to droga do nikąd? Może ta choroba jest błogosławieństwem?

Z pewnością pozostanie tajemnicą Bożej miłości, dlaczego takim właśnie językiem Jezus przemówił do Franciszka. Jedno jednak jest pewne - Pan Bóg zawsze wybiera taki język, jaki jest najbardziej zrozumiały dla odbiorcy. Dlatego to, co najważniejsze z tej Bożej mowy jednak do

Franciszka dotarło, gdyż zapragnął poznać wolę Bożą - zwrócił swoje serce ku prawdziwemu Panu.

Jakże inny to Pan od tego, za którym dotąd podążał. Jakże inny niż hrabia Gentile. To imię z języka włoskiego tłumaczy się jako ktoś miły, przyjemny. Łatwo jest iść za tym, co jest miłe i przyjemne, co lśni blaskiem jak rycerska zbroja albo karoseria BMW, tzn. jeszcze na dodatek przynosi mi korzyść. Jezus, który stanął Franciszkowi na drodze, nie miał ani wdzięku, ani blasku, a do tego sam powiedział, że przyszedł służyć i jak niewolnik umywał nogi swoim uczniom, a potem jeszcze pozwolił sobie zdradzić i powiesić na krzyżu. Co to za Pan? - przecież to Sługa! Co ten Franciszek zrobił?! Szaleniec! Sukces był w zasięgu jego ręki, a on tak nagle z niego zrezygnował...

Czyż nie cisną się niekiedy takie myśli do głowy, gdy ładna i uzdolniona dziewczyna zostawia w połowie studia i wstępuje do zakonu, albo gdy chłopiec mając za sobą pierwsze sukcesy w narodowej reprezentacji juniorów drużyny hokejowej, zostawia wszystko i wstępuje do seminarium? Ależ tak! Nawet osoby wierzące i praktykujące sądzą, że Panu Bogu należą się tylko tacy, którzy: albo się nieszczęśliwie zakochali, albo coś tam innego im w życiu nie wyszło, albo nikt ich nie chciał - jednym słowem: "nieudacznicy". Natomiast ludziom i światu same "rasowe egzemplarze". No cóż - po prostu nieporozumienie, przecież cały świat jest własnością Tego Zdradzonego, Tego Ukrzyżowanego. To on jako Sługa Pański - jako Syn Boży - jest Panem świata, ale władą nim nie tak, jak to niekiedy czyni człowiek - siłą pieniądza i oręża, ale miłością i służbą.

Ten Pan, którego w Spoleto rozpoznał i pokochał Franciszek, na pytanie co ma czynić, polecił mu: "Wróć do swojej ziemi, a tam się dowiesz, co masz czynić". Wrócić znaczyło własnymi rękoma zburzyć wymarzony zamek, znaczyło przyznać się do kolejnej porażki - nie dziwi więc fakt, że Franciszek tej nocy nie mógł już zasnąć.

Wróć do swojej ziemi

Dużo niewiadomych jest w życiu człowieka, dużo niespodzianek - i to nie zawsze miłych - dużo pomyłek i niepowodzeń. Tak dużo, że chciałoby się ponarzekać, a czasami nawet pokrzyknąć ze złości... Czy Pan Bóg nie mógłby nam zaoszczędzić nieco trudu - w tym i tak wystarczająco ciężkim życiu - i wyjawić czego tak naprawdę od nas chce? Czy koniecznie musimy się najpierw wewnętrznie poobijać błędnymi wyborami, pomyłkami, drogami, spotkaniami nie w porę, czy wstydliwymi powrotami... - takimi na przykład, jak ten Franciszkowy - żeby w końcu odczytać wolę Bożą?... Trudno samemu znaleźć odpowiedzi na te pytania, może więc warto kolejny raz przyjrzeć się życiu św. Franciszka i prześledzić w jaki sposób on radził sobie z odnajdywaniem drogi do Boga...

Niby wszystko tak dobrze mu się układało. Warunki zewnętrzne wydawały się sprzyjać jego zamiarom. Pojawia się hrabia, u boku którego można wyruszyć na wojnę po rycerskie laury. Zazwyczaj chciwy na grosz ojciec Franciszka, tym razem nie szczędzi pieniędzy i wyposaża syna z większą hojnością niż mógłby to uczynić niejedyn szlachcic. Nie dziwi więc fakt, że Franciszek nie miał cienia wątpliwości, iż jego zamiary podobają się Bogu.

My też często z podobnych okoliczności usiłujemy wnioskować, że wszystko zgodne jest z zamiarami naszego Pana. I jest to zrozumiałe, nie możemy przecież bez końca się zastanawiać, analizować i kalkulować. W życiu musimy umieć ryzykować, żeby móc je sensownie przeżyć. Przecież i tak nie przewidzimy wszystkich możliwych sytuacji, a czas nie będzie na nas czekał. Kto zbyt długo stoi w miejscu, lękając się niepowodzenia, skazuje siebie na coś jeszcze gorszego - na osamotnienie. Świat jest w ciągłym ruchu, więc aby dotrzymać mu kroku, trzeba nieustannie być w drodze.

Franciszek dobrze to rozumiał. Wykorzystał sprzyjającą chwilę i wyruszył. To była bardzo ważna wyprawa, choć na pierwszy rzut oka zakończyła się niezbyt ciekawie, Franciszek wrócił z niczym.

Jednak w Spoleto wydarzyło się coś tak ważnego, że całe późniejsze życie młodego Bernardone przybrało bieg zupełnie nieoczekiwany. Tam Franciszek po raz pierwszy doświadczył spotkania z prawdziwie żyjącym Bogiem. Co to tak naprawdę znaczy, rozumie tylko ten, kto sam doświadczył podobnego spotkania.

W jednym z życiorysów Franciszka znajduje się znamieny opis skutków owego doświadczenia ze Spoleto. Każde słowo ma w nim niesamowity ciężar właściwy: "Z pośpiechem i wielką radością wybrał się o świcie w powrotną drogę do Asyżu, mając nadzieję poznania woli Boga, który ukazał mu to wszystko i otrzymania od Niego wskazówek dotyczących własnego zbawienia. Jego serce już zostało przemienione. Zrezygnował z podróży do Apulii. Nie pragnął już niczego innego, jak tylko dostosowania się do woli Bożej".

Biorąc pod uwagę zamiary z jakimi wybierał się w podróż, co najmniej musi dziwić ten Franciszkowy pośpiech i towarzysząca mu radość. Przecież wraca jako człowiek przegrany. Jak wytłumaczy swój powrót rodzicom, przyjaciółom? Powie im, że słyszał głos? Kto mu uwierzy, a gdyby nawet to, co to za powód, żeby zrezygnować z tak ważnego przedsięwzięcia, w które tyle zainwestowano?...

Nikt z nas nie jest wolny od pomyłek. Każdemu może się zdarzyć, że nie doprowadzi do końca tego, co zamierzył. Wtedy trzeba wrócić do punktu wyjścia. Nie jest to łatwe. Najpierw sami musimy przełknąć gorzką pigułkę niepowodzenia. Potem przyznać się do porażki wobec innych, wytłumaczyć, uzasadnić powrót... Nie jest to z pewnością nic przyjemnego i chyba tym bardziej zastanawia fakt, że Franciszek "z pośpiechem i radością" wyruszył w drogę powrotną do Asyżu. Jednak, gdy nieco zagłębimy się w opis Franciszkowego powrotu, łatwo odgadniemy powód pośpiechu i radości.

Wstyd i smutek, rozczarowanie i poczucie przegranej może towarzyszyć tylko takim "podróżom po laury", które zakończyły się niepowodzeniem z winy podróżnika. Gdy na przykład młody człowiek, który zarówno intelektualnie, jak i finansowo jest dobrze uposażony, nie kończy rozpoczętych studiów po prostu z lenistwa i głupoty, wtedy rzeczywiście ma się czego wstydzić. Franciszek wracał z innych powodów. Wiedząc, ile wysiłku włożył w realizację swoich zamiarów i jak był pewny, że to, do czego dąży przyniesie mu szczęście; jak był konsekwentny w podążaniu do celu, mimo niepowodzeń, chyba trudno byłoby mu zarzucić, że coś zaniedbał czy przegapił.

Z pośpiechem i radością wraca się tylko z takich życiowych podróży, z których "zawraca nas" spotkanie z Prawdą. Stwierdzamy wtedy: to nie to!, nie tutaj jest moje miejsce!, nie tego chce ode mnie Bóg... Jeżeli nie to i nie tutaj, to co i gdzie? No właśnie... Gdzie szukać tej odpowiedzi? Franciszek już wiedział, dlatego mógł się cieszyć. Usłyszany w Spoleto tajemniczy głos, zapewnił go, że gdy wróci do swojej ziemi, do Asyżu, zostanie mu ukazany właściwy cel jego życia. Cel, którego realizacja zapewni mu upragnione szczęście. Nie chwilowe zadowolenie, ale szczęście, wynikające z wypełnienia swego życiowego zadania, przewidzianego dla niego przez prawdziwego Pana życia. Rycerskie laury przestały już mieć dla Franciszka znaczenie. Spotkanie z Prawdą przemieniło jego serce. Odtąd nie pragnął już niczego innego, jak tylko dostosowania się do woli Bożej. W tym kontekście raczej dziwiło by nas, gdyby Franciszek się nie spieszył. Był on młodzieńcem pełnym zapału, był człowiekiem czynu. Co zamierzył, to natychmiast realizował. Tak, jak każdy młody człowiek, który chce coś w życiu osiągnąć.

Jakie drogowskazy kryją się w życiowym doświadczeniu Franciszka? Zobaczmy, że Franciszek był synem kupca, ale wcale nie miał zamiaru iść w ślady ojca. Nie chciał, jak on, spędzić swego życia w sklepie. Nie chciał poprzestać, na statusie bogatego mieszczanina. On pragnął oderwać się od tego na czym wyrósł. Pragnął czegoś więcej. Chciał być sławnym rycerzem - wielkim księciem. Stąd też jego wyprawy po sławę...

Podobnie i my nie zawsze jesteśmy zadowoleni z tego, w jakiej rodzinie przyszliśmy na świat; jakich mamy rodziców; kim jesteśmy; z tego jak nas ukształtowały realia życia rodzinnego. Dlatego, gdy dorastamy, gdy już możemy decydować o swojej przyszłości, chcemy się oderwać od tego, co nam się nie podoba. Chcemy ułożyć sobie życie po swojemu. No i przy pierwszej, nadarzającej się okazji wyruszamy...

Tymczasem to jest droga do nikąd. Ucieczka nic nie załatwi. Samo odcięcie się od przeszłości nie wniesie nic dobrego do naszego życia, ale tylko nas wewnętrznie rozbije. Możemy coś zmienić tylko wtedy, gdy zaakceptujemy prawdę o swoim życiu. Bolesna historia nikogo nie stawia na przegranej pozycji. Bóg jest Panem historii. On chce nas spotkać w tej właśnie rzeczywistości, chce dać szczęście bez względu na to, kim byli nasi rodzice i jak bardzo by nas skrzywdzili. Mamy szansę stać się wartościowymi i wewnętrznie głębokimi ludźmi, ale musimy powrócić do siebie, musimy zamieszkać swoje życie - swoją ziemię.

Zamieszkać swoje serce

Bóg nigdy nie przemawia do nas "ot tak sobie", jak to nieraz czyni człowiek. Słowo Boga wypowiedziane nad światem ma zawsze znaczenie zbawcze i pragnie ono szczerego nawrócenia najpierw ludzkiego serca. Na czym miałyby polegać to nawrócenie? Na zaproszeniu Boga do wszystkich wymiarów życia. I wydawałoby się, że to całkiem proste, ale doświadczenie nasze własne, jak i Franciszkowe, pokazuje nam coś innego.

Można chodzić do kościoła i być w porządku wobec dziesięciu przykazań Bożych. Można być, jak Franciszek, uważanym za miłego i szlachetnego młodzieńca i usłyszeć w pewnym momencie te zaskakujące pytania ze Spoleto: "Dokąd idziesz?, Dlaczego opuszczasz Pana dla sługi?" i w końcu polecenie: "Wróć do swojej ziemi, a tam się dowiesz, co masz czynić". Każdy z nas, choćby nawet nigdzie nie wyjeżdżał, sercem może być bardzo daleko od swego domu, od swojej ziemi, od rzeczywistości swego życia - może po prostu nie być u siebie, bo jest mu tam źle, a zła należy unikać... Uciekamy więc na różne sposoby. Jedni w ambicje naukowe i zawodowe: jak zdobędę wykształcenie wtedy wszyscy będą mnie szanować i cenić, jak będę pracować bez wytchnienia dostanę awans. Inni uciekają w poczucie życiowej przegranej i przygnębiający smutek dopełniony marzeniami o tym "co by było gdyby?": mnie to nigdy nic nie wyjdzie, nie mam szans, może gdybym miał lepszy start... Inni odrealniają swój świat sięgając po alkohol czy narkotyki, mówiąc sobie: choć przez chwilę mogę nie myśleć o tym jak jest. A jeszcze inni uważają, że coś im się w końcu od życia należy i rzucają się w wir przyjemności - w życie towarzyskie, w doznania erotyczne, itp.

Niestety wcześniej czy później rozbijemy się o ten nasz sztucznie wykreowany "lepszy świat", jak okręt o lodową górę. Co wtedy? Czy nie ma już żadnego ratunku dla życiowych rozbitków? Jest! Trzeba wrócić! Wrócić do rzeczywistości swego życia, jakkolwiek nieciekawie by w nim było, i jeszcze wpuścić do swego "domu" Chrystusa. On ze swoją łaską czeka na nas właśnie tam - u nas - w tej ziemi, w której zasiał ziarno naszego życia i dał wzrost. Jeżeli nas u siebie nie ma, to rozmiłujemy się z Tym, który jako jedyny potrafi pisać prosto na krzywych liniach człowieczego życia .

Franciszek też chciał sobie stworzyć lepszy świat niż ten, w którym dane mu było żyć. Chciał sam, swoim własnym wysiłkiem, zasłużyć na szczęśliwe i dostatnie życie. Sam! I to był właśnie jego najważniejszy problem, bo nie ma nic niewłaściwego w tym, że człowiek pragnie czegoś lepszego dla siebie czy też swoich bliskich, ale nie powinien zabierać się do realizacji tych pragnień sam. Dlatego i ten, pełen marzeń o sławie, młodzieniec w końcu "rozbił się" o swoją "górną lodową" - o zwykłą, fizyczną słabość, o chorobę. No i dobrze, bo wreszcie dzięki temu zderzeniu Franciszkowych marzeń ze słabością ciała, zrobiła się jakaś "szczelina", przez którą Bóg "wśliznął się" do jego serca. To był początek nawrócenia młodego Bernardone...

Prawdziwe nawrócenie zawsze najpierw dotyka serca. Jeżeli ono będzie zwrócone ku Bogu, to i wszystko inne powoli skoncentruje się wokół woli Bożej. Coś się w nas zmienia tak radykalnie, że jakkolwiek wcześniej nie przywiązywaliśmy zbytnej wagi do Bożego Słowa, to po tym dotknięciu łaski jesteśmy gotowi uczynić wszystko, czego Ono od nas zażąda. Wtedy natychmiast, jak Franciszek, rezygnujemy ze swoich planów nie zważając na ludzkie względy, na rozczarowanie tych, którzy być może pokładali w nas jakieś określone nadzieje. Nie zważając na ewentualne niezrozumienie z ich strony czy nawet drwiny.

Bóg pozyskał serce Franciszka, a on odnalazł prawdziwego Pana. I choć na zewnątrz był niby taki sam jak wcześniej, to jednak nieco inny. Dotknięty łaską Franciszek odczuwał tę wewnętrzną przemianę, ale jego przyjaciele widzieli w nim nadal tego samego, lubiącego "zaszaleć" towarzysza zabaw. Dlatego, gdy już nieco przycichła sprawa z niefortunną wyprawą rycerską, starym zwyczajem wybrali Franciszka na przewodniczącego uczt i on zajął się jej przygotowaniem. Wszyscy świetnie się bawili - jak zawsze w tym gronie - ale nie on sam...

Gdy wyszli na ulice Asyżu ze śpiewem na ustach, młody Bernardone, milczący i pogrążony w głębokiej zadumie, szedł na samym końcu tego rozbawionego korowodu. Czyżby nie czuł się już dobrze w roli króla zabaw? Dlaczego?

Ciąg dalszy w II kroku pt. "Przyjęcie człowieka".